

Z płk. Karolem Rómmlem niedokończone rozmowy

Witold Domański

„Kiedy Międzynarodowy Komitet Olimpijski włączył do programu igrzysk 1912 roku w Sztokholmie jeździectwo, zdopingowało mnie to bardzo. Kupiłem za 90 rubli., od Kozaka idącego do cywila, skoczego Ziabluka, co po polsku znaczy „zięba“ i oddałem się z zapalem przygotowaniu go do eliminacji do kadry olimpijskiej.”

Któż dzisiaj z jeździeckiego środowiska wie cokolwiek o Karolu Rómmle lub bodaj pamięta tego wspaniałego jeźdźca, a równocześnie barwną postać z życia poza szrankami lub wyścigowym torem. Na palcach jednej ręki można nas policzyć. Ja miałem to szczęście często obcować z Pułkownikiem, który chętnie opowiadał mi różne fragmenty swego barwnego życia. Te rozmowy odbywały się zawsze na wspólnych kwaterach w stadach i stadninach w czasie rozgrywanych tam zawodów jeździeckich.

Może mnie ktoś zapytać - skoro Pułkownik nie żyje już 35 lat, dlaczego tak długo zwlekałem z przekazaniem treści tych rozmów. Otóż sprawa jest nieco skomplikowana. Zamierzałem napisać o nim książkę. Wziąłem z Wydawnictwa Sport i Turystyka egzemplarz umowy podpisany przez dyrektora, w którym uwidoczniono,

że na stronie tytułowej będzie wydrukowane jego nazwisko, a moje poniżej, jako tego, który tę książkę opracował. Niestety. Pułkownik nawet nie wziął do ręki tej umowy i rzekł - „Panie Witoldzie, żyje jeszcze wiele osób, które znają mnie z czasów carskich, więc kiedy książka się ukaże, mogą powiedzieć - ależ ten Karol tu nałgał.” A żeby się dodatkowo zabezpieczyć, nie pozwolił mi nawet notować przy nim zasłyszane słowa. Cóż było robić, powróciwszy do Warszawy starałem się zanotować to, co usłyszałem, a nie były to wspomnienia chronologiczne, lecz wrywkowe, w zależności od tego, co się Pułkownikowi przypomniało.

Pułkownik umarł po naszym ostatnim spotkaniu w Gnieźnie, gdzie planowaliśmy, że w przyszłym roku... Notatki nie zginęły, ale ja byłem jeszcze wtedy w pełni zawodowej pracy, a dodatkowo społecznej w Polskim Związku Jeździeckim i Polskim Związku Hokeja na Lodzie, więc nie było czasu na uporządkowanie tych wspomnień. Wreszcie powiedziałem sobie - jeśli nie ja, to kto i oto, co mi się udało skonstruować, możliwie chronologicznie.

Lata dziecięce lata młodzieńcze

- Panie pułkowniku, cofnijmy się myślami o 70 lat.

- Urodziłem się w Grodnie w 1888 roku, ale lata dziecięce spędziłem w Granach. Był tam ogromny poligon dla ćwiczeń artylerii, a komendantem był mój ojciec, artylerzysta, Alfons. Rodzice mieli sześciu synów i dwie córki. Wszyscy chłopcy poszli do wojska. Znany dobrze w Polsce generał Juliusz Rómmel był artylerzystą. Był starszy ode mnie o 8 lat.

- Miał więc pan wspaniałe warunki do kontaktu z końmi od dziecka.

- Tak, ale ja się nie paliłem do jazdy konnej. Wręcz przeciwnie. Przyjeżdżał do ojca linijką lub sankami kapitan Połtoracki. Kiedy wyprzęgał swoją Malinkę, koniecznie chciał mnie na nią wsadzać. Spotykało się to z moim oporem, tak że kiedy zimą słyszałem dźwięk dzwoneczków zbliżających się sanek, włazi-



Pułkownik Karol Rómmel.
Fot. z archiwum autora.

łem pod kanapę i stamtąd mnie wyciągano. Oczywiście, przełamano po jakimś czasie te opory do tego stopnia, że sam już szukałem kontaktu z koniem w stajni, wdrapując się na jego grzbiet bądź po ścianie, bądź po ogonie. Prosiłem czasem kanonierów wyjeżdżających na ćwiczenia baterii, aby posadzili mnie jako jeźdźca pary środkowej, najbardziej bezpiecznej (w zaprzęgu szły trzy pary: czołowa, środkowa, dyszlowa - przyp. WD). Kiedy miałem siedem lat, jeździłem już na koniu o nazwie Siłacz. Pamiętam niedzielne przejażdżki całą rodziną w teren, gdzie trzeba było czasami nawet skoczyć jakąś przeszkodę terenową. Wyczynem były moje wyjazdy na konkursy do Grodna, do którego jechało się cztery dni.

- Jak to się stało, że wywodząc się z grona kawalerzystów i artylerzystów, zdecydował się pan iść do piechoty?

- Nie tak od razu. Najpierw byłem w korpusie kadetów w Odessie. Była to szkoła sięgająca tradycją do 1730 roku, a jej patronem był car Paweł I. Od lat panował w niej ścisły rygor. Za wszelkie przekroczenia dyscypliny surowo karano, nawet tych najmłodszych, 7-letnich. Gdy ktoś miał nie zapięty guzik, odrywano go, często wszystkie. A przyszywać trzeba było samemu. Byłem cherlawym chłopcem, miewałem niewyjaśnione bóle nerwowe, w nocy zrywałem się przestraszony.



Karol Rómmel wystartował na Igrzyskach Olimpijskich w 1912 roku w Sztokholmie w barwach Rosji. Dosiadał wówczas konia Ziablik, na którym zajął 15. miejsce. Fot. z archiwum autora.

W programie szkoły nie było jazdy konnej, ale nie zabraniano, jeżeli ktoś miał dostęp do konia, aby w wolnych chwilach uczył się jeździć. Ja nawiązałem kontakt z dżokejami tamtejszego toru, którzy pozwalali mi korzystać z koni. Kiedyś z zupełnie nieusprawiedliwionej przyczyny koń skoczył w bok, zrzucił mnie, a następnie włókł po ziemi, bo jedna noga została głęboko w strzemieniu. Efekt - parę miesięcy w gipsie. Muszę powiedzieć, że w mojej długiej karierze jeździeckiej, a miałem chyba setki koni pod siodłem, nie raz spadłem z konia, ale rzadko coś mi się stało.

- Po korpusie kadetów była wreszcie piechota.

- Tak, rodzice uważali, że służba w gwardyjskim pułku piechoty, tuż obok dworu, to szanse na przyszłość. No więc poszedłem najpierw do oficerskiej szkoły piechoty w Petersburgu. Jej komendantem był Wielki Książę Konstanty Konstantynowicz, którego ojca Polacy się pozbyli w 1830 roku. Syn był osobistością romantyczną, poetą, w ogóle miłośnikiem sztuki. Więc w szkole graliśmy w teatrze, organizowaliśmy wieczory literackie, muzyczne. Ja skorzystałem z moich malarskich uzdolnień, rozwijając je. Namalowałem między innymi obraz batalistyczny szarży napoleońskiego pułku kirasjerów pod Borodino na Izmajłowski pułk kawalerii. Obraz ten zawisł później w kasynie mego gwardyjskiego pułku. Ale co się z nim stało po rewolucji?

Służba w tym pułku była odpowiedzialna z uwagi na czynności wartownicze przy dworze. Znałem więc, chociaż z widzenia, całą rodzinę carską, a nawet Rasputina. Stojąc raz na warcie przy gabinecie Mikołaja II, nie wpuściłem do środka tego straszego chłopca. Nic mnie za to nie spotkało, bo car go nie lubił. Defilady, udział w pogrzebach ważnych osobistości, to były następne obowiązki naszego pułku. Z pogrzebami najgorzej było zimą. Trwały niezwykle długo, o odejściu na stronę nie było mowy. Gdy wreszcie na cmentarzu skończyły się ceremonie pogrzebowe, po komendzie spocznij i rozejść się, wojsko biegiem udawało się do najbliższego muru, który nazywaliśmy ścianą płaczu.

Kariera sportowa

Zarówno w szkole oficerskiej, jak i w pułkach piechoty nauka jazdy była marginesowa. Oficer miał tylko na tyle opanować tę sztukę, by bez kompromitacji jechać na czele pieszego oddziału. Ale ja nie ograniczałem się do tych skromnych godzin, lecz udawałem się do Mikołajewskiego Maneżu, gdzie podglądałem oficerów broni konnych podnoszących swoje kwalifikacje pod okiem instruktorów. Zajęcia prowadził Francuz angielskiego pochodzenia Fillis, według obowiązującej w Europie szkoły klasycznej. Tymczasem po powrocie ze szkolenia we Włoszech rotmistrz Rodzianko zaczął wprowadzać tak zwaną szkołę włoską, która szybko się zakorzeniła w Rosji. Przyprawiano mi konie do maneżu i tam po ukończonych zajęciach oficerów broni konnych przerabiałem, bez instruktora, jeździeckie nowinki.

Kiedy Międzynarodowy Komitet Olimpijski włączył do programu igrzysk 1912 roku w Sztokholmie jeździectwo, zdopingowało mnie to bardzo. Kupiłem za 50 rubli, od Kozaka idącego do cywila, skoczego Ziabluka, co po polsku znaczy „zięba” i oddałem się z zapalem przygotowaniu go do eliminacji do kadry olimpijskiej. Wiosną 1912 roku na zawodach w Carskim Siole, w obecności dworu, odbyła się pierwsza eliminacja z udziałem 60 jeźdźców. Kilkunastu, w tym i ja, przeszło do kolejnej próby. Ostatecznie sześciu desygnowano do reprezentacji olimpijskiej. Na tej eliminacji był Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz, późniejszy wódz naczelny armii na pierwszej wojnie światowej, który zaskoczony awansem oficera piechoty uważał, że powinienem być przeniesiony do kawalerii. Ale nie doszło to do skutku, bo ja się do tego nie paliłem.

W ekipie rosyjskiej znalazł się Wielki Książę Dymitr Pawłowicz. Spowodowało to, że gospodarze igrzysk umieścili całą naszą ekipę w zamku, gdyż książę nie zgodził się, aby zakwaterować tam tylko jego. Podobnie było w przypadku Niemców, w których ekipie był Książę Pruski Fryderyk I.

Przeszkody konkursu olimpijskiego nie przekraczały wysokości 140 cm, a rów z wodą miał 4 metry. Inaczej punktowano błędy/. Obniżenie przeszkody tylnymi nogami konia kosztowało 2 pkt. karne, przednimi - 4 pkt. Ale na przeszkodach leżały takietki, czyli listwy przypominające poprzeczkę lekkoatletyczną. Spadały po uderzeniu w przeszkodę i za to dawano 1 pkt. karny. Przeszkód było dziewiętnaście. Ziabluk potrafił dopiero dziesiątą, trzynastą zwałił tylnymi nogami, a z kolejnej, muru, spadła takietka. Następne cztery przeszkody Ziabluk pokonał w wojowniczym nastroju, ale na ostatnią, czyli rów, nie pojechałem szeroko i obaj wpadliśmy w wodę. A ja już przed jej skoczeniem widziałem się w rozgrywce o medale.

Upadek nie odbył się bezkarnie. Złamałem sobie parę żeber, więc położono mnie w miejscowym szpitalu. Niech pan sobie wyobrazi moje zdumienie, kiedy następnego dnia wnoszą mi wielką wiązanekę z róż, jak się okazało dar żony następcy tronu Marii Pawłowny, którą przypadkowo spotkałem po 12 latach na igrzyskach w Paryżu, gdyż żyła po rewolucji na emigracji we Francji.

- Chyba pan pułkownik miał w swoim życiu wiele kontaktów z interesującymi kobietami?

- Niech pan sobie wyobrazi, że w tej „konkurencji” rozpocząłem od falstartu. A historia była taka. Jeden z oficerów w Oranach miał córkę, mniej więcej w moim wieku, o imieniu Olga. Podkochiwałem się w niej po dziecinnemu, z dystansem nie pasującym do mego charakteru. Pewnego razu została zapowiedziana u nas wizyta jej rodziców z córką. Mama mnie wystroiła i uprzedziła, abym był grzeczny i zrobił dobre wrażenie. Kiedy wszyscy byli w salonie, zawołano mnie. Wszedłem w pełnej krasie, ale z nocnikiem na głowie. To - moim zdaniem -miało zrobić wrażenie na pannie. Usunięto mnie z salonu, a co było potem, lepiej nie mówić. Siostra napisała przeprosiny w moim imieniu. A jak było później z kobietami? No cóż, to już tylko miłe wspomnienia, choć czasem zdarzały mi się figle.

- Start olimpijski nie zakończył się w rowie, bo statystyka tamtejszego konkursu opiewa, że zajął pan 15. miejsce¹ i, z rosyjskiej ekipy, tylko księżę Dymitr był przed panem. Rodzianko, Zahorski, Pleszkow, Zelikow byli z tyłu, a złoty medalista Francuz Cariou miał 5 pkt. karnych, czyli więcej niż pan przed owym nieszczęsnym rowem.



W 1957 roku 69-letni Karol Rómmel wygrał w Zakopanem zimowy konkurs szybkości na koniu Dżafar.
Fot. z archiwum autora.

¹ Sprawa miejsca, jakie zajął K. Rómmel na IO w Sztokholmie wymaga wyjaśnienia. Otóż prof. W. Pruski w swej książce „Dzieje konkursów hipicznych w Polsce” (str. 42) oraz wielokrotnie na łamach KP podawał, że było to miejsce dziewiąte. Jednak przed Rómmlem było sklasyfikowanych 14 zawodników, z tym że niektórzy z nich zajmowali miejsca ex aequo, czego według ówczesnego sposobu tworzenia klasyfikacji nie brało się pod uwagę. Redakcja.

- Tak. Zawsze mówiłem, że medal utopiłem w rowie. Oczywiście po igrzyskach startowałem na licznych konkursach w kraju i to z powodzeniem. Mam zdobyte w Kijowie mistrzostwo Rosji. Odnosiłem też sukcesy w gonitwach dżentelmeńskich. Tu wspomnę jedno zabawne zdarzenie, ale to już było w Polsce w okresie międzywojennym. Działo się to w Poznaniu na Ławicy/. Wyścig przeszkodowy, mój koń zawadza o coś i lecimy obaj na ziemię. Koń się zrywa, a ja leżę. Słyszę okrzyki przerażenia na trybunach. Podjeżdża karetka, zabierają mnie, jedziemy na izbę chorych, kładą mnie na stole, a ja się zrywam ze śmiechem. Wtedy pułkownik lekarz krzyknął „Karol! Co ty robisz z nas durniów!” Na to ja odwracam się do niego tyłem, nachylam i mówię - i co z pękniętymi spodniami miałem wsiadać na konia i świecić gołą d... publiczności? (pod spodniami nie było kalesonków, co dżokeje czasami stosują dla zmniejszenia ciężaru jeźdźca - przyp. W.D.)

Zmiana barw

- W jaki sposób przeszedł pan do polskiej armii?

- O dziwnej wojnie rosyjsko-niemieckiej i upadku caratu może powiem trochę później. Kiedy w Rosji zaczęło się wszystko rozsypywać, wiele uciskanych narodowości zaczęło walczyć o niepodległość. Pojawiły się tam i polskie oddziały - Legiony. W 1919 roku znalazłem się w Rembertowie, już jako kawalerzysta w stopniu kapitana. Inspektor kawalerii generał Kawecki wystąpił dla mnie o stopień majora i podał do 8. Pułku Ułanów im. Ks. Józefa Poniatowskiego na funkcję zastępcy dowódcy. Ułani to byli przeważnie kawalerzyści z 1. austriackiego pułku. Najpierw walczyliśmy na Śląsku, później na Wołyniu, a pod Lwowem zostałem ciężko ranny w czasie szarży na karabiny maszynowe. I to był koniec mojej żołnierskiej kariery. Przeniesiono mnie do 1. Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, ale pułk nie miał już ze mnie pociechy, bo skierowano mnie na instruktora jazdy do szkół podchorążych, kolejno do Przemyśla, Starej Wsi i wreszcie do Grudziądza.

* * *

Tyle pułkownik Rómmel, z którym po raz ostatni rozmawiałem jesienią 1966 r. w Gnieźnie. Miałem nadzieję, że jeszcze usłyszę od niego wiele ciekawych wspomnień ze startów, również w wyścigach, bo przecież brał udział w Wielkiej Pardubickiej. Może nieco marginesowe, ze względu na sportowy charakter rozmów, ale jakże ciekawe byłyby obiecanie przeżycia z pierwszej wojny światowej. Niestety, 7 marca następnego roku zmarł w Sopocie, gdzie został pochowany.

Na zakończenie podaję najważniejsze osiągnięcia Pułkownika. A więc udział w trzech igrzyskach olimpijskich: Sztokholm, Paryż, Amsterdam. Na tych ostatnich zdobył wraz ekipą brązowy medal w WKKW. Dwukrotnie był mistrzem Polski w skokach przez przeszkody: w 1935 na Saharze i 1937 - na Dyngusie; raz wicemistrzem w 1934 - na Aljancie. 14-krotnie reprezentował kraj w Pucharach Narodów, z tego trzy razy Polacy wygrywali. W 1939 roku, w czasie CHIO w Łazienkach, poprawił o 3 centymetry polski rekord w skoku na wysokość por. Nerlicha-Dąbskiego, przekraczając 198 cm na Dyngusie (Huszar II xx - Okaryna). W 1957 roku byłem świadkiem ostatniego sukcesu Pułkownika w Zakopanem, gdzie ten 69-letni wówczas człowiek wygrał na Równi Krupowej zimowy konkurs szybkości na Dżafarze, pokonując jeźdźców młodszych od siebie o kilka dziesiątek lat.